

Piotr Zacccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

— Mam dla ciebie świeżą robotę, Bovard — rzekł pan Richard. — Udasz się natychmiast na ulicę Abbacya, pod adres wymieniony tu, na tej karcie i postarasz się coś dowiedzieć od portjera o lokatorach domu.

— To nie będzie trudno — uśmiechnął się agent.

— W domu tym mieszka niejaki pan Leduc. Chcę się dowiedzieć, co to za człowiek, w jakim jest wieku, czym się zajmuje, jak dawno mieszka na ulicy Abbacya i kogo przyjmuje u siebie. Zrozumiałeś mnie?

— Doskonale, panie dyrektorze!

— Jak tylko zbierzesz jakie wiadomości, przyjdiesz mi ich udzielić i wówczas porozumiemy się co do pewnej sprawy, którą mam do prowadzenia.

— Czy to wszystko, panie Richard?

— Wszystko. Jest teraz godzina ósma, mam nadzieję, że o dziewiątej powrócisz z dobrymi wiadomościami.

— Nie wątpię również, panie dyrektorze.

— Idź więc, Bovard i użyj całej swojej zręczności i sprytu. Jeżeli się nie mylę, to sądzę, że trzymam w ręku prawdziwy ślad mordercy z Marsylii.

— A więc to o niego chodzi? — zapytał ciekawie Bovard. — Toby było coś dobrego dla nas, panie dyrektorze. Ja nieraz zastanawiałem się nad tem, dlaczego mnie pan nie zawezwał wcześniej. Takie tajemnicze sprawy, to przecież moja specyalność.

— Zajmiemy się teraz nią obydwa — odparł pan Richard. — Idź już, Bovard, i spraw się dobrze.

Agent skłonił się i wyszedł spiesźnie, okazując wielkie zadowolenie.

Niedaleko kościoła Saint-Germain, w kamienicy dwupiętrowej mieszkał człowiek, noszący nazwisko Cypryana Leduca. Trudno było określić, czym się on właściwie zajmował. W każdym razie była to dosyć szczególna osobistość. Cypryan Leduc był podobno niegdyś pomocnikiem notariusza, kandydatem adwokackim i anarchista. Uchodził za człowieka uczciwego, naiwnego dosyć, cierpliwego i nadzwyczaj ciekawego z natury.

Dom, w którym mieszkał Cypryan Leduc, był narożnym i łączył się z ulicą Fürstenberg. W mieszkaniu swoim Leduc urządził istny zbiór wszelakich przedmiotów. W gabinecie jego obszernym wszystko z pedantyczną systematycznością urządzono było, pułki, wypełnione książkami i rękopisami, nosiły numera i tytuły, wypisane równem, czytelnym pismem. Rękopisy zawierały dokładną biografię najznacniejszych rodzin francuskich.

Pan Cypryan Leduc prowadził życie bardzo regularne. Wychodził codziennie o godzinie ósmej, powracając w południe. Po zjedzeniu śniadania i przeczytaniu dzienników, przyjmował interesantów i gości. Mieszkał już w tej samej kamienicy lat trzydzieści, skromny, nie narzucający się i nie zajmujący swoimi sąsiadami.

W dniu, w którym pan Richard, prokurator z Marsylii, przybył do Paryża, Cypryan Leduc jak zazwyczaj, znajdował się o godzinie dwunastej w swoim gabinecie. Siedział przed biurkiem, spożywając śniadanie, złożone z zimnego mięsna i chleba. W tej chwili zapukano dwukrotnie do drzwi gabinetu.

— Proszę wejść! — zawołał pan Leduc — donośnym głosem.

Wszedł człowiek pięćdziesięcioletni, ubrany w długi, czarny surduł, z twarzą wygoloną sfarannie, na której widniał wyraz sztucznego ugrzeźnienia i usługowości.

— Pan Cypryan Leduc? — zapytał nieznajomy, kłaniając się nisko.

Archeolog wyprostował się i objął przybysza bystrym spojrzeniem.

— To ja, mój panie — odpowiedział, nie porzucając śniadania rozpoczętego.

— W takim razie poproszę pana o łaskawe towarzyszenie mi.

— W jakim celu?
— Powiem to panu po drodze.
— Ale któż pan jest?
— Czy naprawdę pragnie się pan o tem dowiedzieć? — odparł nieznajomy, uśmiechając się.
— Co za dziwne pytanie!
— A więc, oto mój bilet. Zechce się pan sam przekonać i zrozumieć.

Mówiąc to, nowoprzybyły wręczył panu Leduc kawałek bristolu, na którym widniał napis: „Buvard, agent policyi”. Archeolog nie okazał najmniejszego zdziwienia.

— Dobrze — służę panu — rzekł spokojnie. — Chętnie będę panu towarzyszyć, ale mam nadzieję, że pan mi wyjaśni, dokąd się udać zamierzamy.

— Do dyrekcji policyi.
— Coraz lepiej, a może mnie pan objaśnić, czego tam żądają odemnie?

— To już leży w atrybucji komisarza policyi — odpowiedział Buvard, kłaniając się grzecznie.

Cypryan Leduc nie uczynił już żadnej uwagi. Powstał z fotelu, uporządkował papiery na biurku, część ich zamknął w żelaznej szafie, zajmującej pokój, wziął z wieszadła płaszcz i kapelusz i stanął przed agentem.

— Jestem do usług pana — wymówił poważnie.

— Jedźmy więc — odparł Buvard. — Dorożka moja czeka na dole, za kilka minut będziemy w dyrekcji.

Rzeczywiście w dziesięć minut później Leduc i agent wychodzili z powozu i znaleźli się w długich korytarzach gmachu policyjnego. Kiedy minęli kilka drzwi i zakrętów, Buvard zatrzymał się w niedużym przedpokoju, w którym drzemał na ławce chłopiec biurowy.

Agent ujął go za ramię i zapytał:

— Wstęp wolny?

— Tak — brzmiała odpowiedź.

Wówczas agent otworzył drzwi i, popychając przed sobą Leduca, wszedł do pokoju.

Dyrektor policyi siedział przed biurkiem, zajęty pisaniem.

— Oto ten człowiek! — wyrzekł Buvard i natychmiast wyszedł do przedpokoju.

Leduc nie zdawał się być zmieszany tą dziwną sytuacją. Spojrzał z uśmiechem na człowieka, siedzącego przed biurkiem i zapytał spokojnie:

— Z kimże mam przyjemność mówić?

— Jestem dyrektorem policyi.

— Ach! Doskonale! — szepnął Leduc.

Pan Richard bacznie obserwował swojego gościa i wzrok jego bystry i przenikliwy zdawał się go nawskroś przenikać. Jednakże człowiek ten, stojący przed nim w skromnej postawie, szczupły i niski, z dobrodusznym uśmiechem na twarzy, nie miał wyglądu przebiegłego zbrodniarza. Cień niezadowolenia i zawodu przemknął po twarzy szefa policyi. Wyciągnął po chwili kartkę papieru z szuflady biurka i, przeglądając ją, zapytał:

— Pan jest Cypryanem Leduc?

— Tak jest.

— Archeologiem i biografem?

— Tak jest.

— Jest pan bardzo zajęty?

— To zależy.

— A obecnie?

— Och! Obecnie sprawy moje stoją wcale dobrze. Nie mam chwili wolnego czasu.

— Nie przeszkadza panu to jednak podróżować?

Leduc wyprostował się na tę uwagę, uczynioną ironicznym tonem.

— Jakto? — zapytał zdziwiony.

— To przecież jasne. Powtarzam, że nawet pracy, o którym pan mówi, nie przeszkadza panu podróżować, tak, jak to pan jeszcze niedawno uczynił.

Leduc zmarszczył czoło z niezadowoleniem.

— Pan o tem wie? — zapytał.

— Przyznaje więc pan?

— Dlaczego miałbym to ukrywać?

— Byłoby to rzeczywiście niepotrzebne, bo posiadam w rękach dowody, iż znajdował się pan dwa dni temu na przedmieściach Marsylii, i że pan tam zgubił ten oto bilet wizytowy, znaleziony przezemnie w okolicy Saint-Nicolas.

Mówiąc to, pan Richard podsunął pod oczy Cypryana Leduca kartkę zakurzoną i pokrytą błotem, na której mógł wyczytać nazwisko swoje i miejsce zamieszkania.

— No, i cóż mi pan ma na to do odpowiedzi? — nalegał szef policyi.

Leduc powoli wstrząsnął głową.

— Prawie, że nic, to chyba tylko, że, jako człowiek, powinienem zawsze liczyć się z przypadkiem.

— A więc przyznaje pan, że udałeś się dwa dni temu do Saint-Nicolas?

— Oczywiście.

— Czy znajdował się pan tam, kiedy zbrodnia popełniona została?

— Nie, proszę pana. Właśnie wiadomość o tej strasznej zbrodni zadecydowała o mojej podróży.

— Oto zeznanie dosyć ważne.

— Przyznaję to.

— W jakim celu wyjechał pan z Paryża?

— Chciałem sam obejrzeć teren zbrodni — odpowiedział archeolog z prostotą — a to ze względów osobistych.

— Ze względów osobistych?

— Tak jest. Chciałem upewnić się co do niektórych okoliczności, które mnie szczególnie uderzyły.

— Proszę, niech się pan jaśniej wyrazi!

— Trudno będzie, a jednak spróbuję. Przede wszystkim zaznaczyć panu muszę, że również silnie zainteresowany zostałem zbrodnią, popełnioną pięć miesięcy temu na folwarku, pana Lorain. Nie miałem żadnej wątpliwości, że morderca pana Valentin i jego żony, jest tą samą osobą i udałem się do Saint-Nicolas, aby znaleźć dowody potwierdzające moje przypuszczenie.

— A te dowody? — zapytał pan Richard, zdziwiony słowami archeologa.

— Zdaje mi się, że je posiadam.

— Aby mieć tę pewność, musi pan znać nazwisko mordercy.

— Może je znam.

— I mógłby je pan wskazać policyi?

— Mogłbym.

— Ah! Niechże więc pan mówi, niech pan wyjaśni wszystko, co wie! — zawołał poruszony szef policyi.

Pan Leduc zaprotestował energicznym ruchem ręki.

— Nie mogę nic dodać ponadto, co powiedziałem — odpowiedział stanowczo. — Moje sprawy osobiste wymagają wielkiej dyskrecji. To, co się dzieje w moim gabinecie, nie może być znane nikomu.

— Nawet policyi?

— Nawet policyi.

Pan Richard zachnął się niecierpliwie.

— Ach! Niech się pan strzeże, panie Leduc — rzekł surowo. — Bo, jeżeli upierać się pan będzie dalej przy tem milczeniu, którego wytłumaczyć sobie nie umiem, może pan wyjść z tego pokoju pod zarzutem współnictwa w zbrodni.

Pan Leduc spokojnie skłonił głowę.

— Uczyni pan według swojej woli, panie dyrektorze — odparł — ale przysięgam panu, nie powiem nic więcej. Nic na świecie, nawet obawa przed więzieniem, nie zdoła mi wydrzeć tajemnicy, która nie jest moją. Chce mnie pan uwięzić, jako współnika tych ohydnych zbrodni? Do czego to pana doprowadzić może? Czy sądzi pan, że tym sposobem pochwyty pan prawdziwego winowajcę? Potrafię się wytłumaczyć przed sądem i rzucić z siebie to podejrzenie. Ja w więzieniu! — dodał unosząc się. — Ależ pan o tem nie myśli poważnie! Ułatwiłby pan tylko prawdziwemu mordercy możliwość ukrycia swojej winy.

— Jakże to? — zapytał ze zdumieniem pan Richard. — Nie rozumiem pana!

— Tak jest. Bo wiadomość o mojem aresztowaniu będzie ostrzeżeniem dla mordercy. Potrafi on z tego wyciągnąć korzyść dla siebie i uchronić się przed pościgami policyi. Jeżeli zostaną więźniem pana, tamten stanie się nie do odkrycia, jeżeli zaś pozostawi mi pan wolność, obowiążuję się go odkryć policyi.

— Jakim sposobem?

— To jest moja tajemnica.

Pan Richard powstał nagłym ruchem i zaczął przebiegać pokój wielkimi krokami.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

— Czekam, panie dyrektorze — odezwał się wkońcu Cypryan Leduc spokojnym głosem. — Czy jestem więźniem, czy też wolnym jeszcze?

— Jesteś pan wolny! — odpowiedział pan Richard. — Niech pan tylko nie zapomina, że będziemy mieć oczy zwrócone na pana!

— Rozumiem, panie dyrektorze — ale niech pan zapowie swoim agentom, aby nie okazywali zbytnej gorliwości. Nadmierne czuwanie nad